

(Kontr)rewolucja w państwie PiS

28 marca 2017

A więc wojna! – słyszymy każdego rana, gdy pies ze snu budzą nas kot, dziecko, on lub ona, budzik, wycie pił spalinowych za oknem, demonstracje za lub przeciw. A więc wojna! Oko za oko, ząb za ząb, okładka za okładkę, kłamstwo za kłamstwo, propaganda za propagandę, nieżyczliwość za nieżyczliwość, obelga za obelgę. Wstajemy, bierzemy prysznic, pijemy kawę, sprawdzamy, czy stan twarzy w lustrze jest kompatybilny ze stanem konta bankowego, czytamy smsy, maile, powiadomienia, ponaglenia, potępienia, przymilenia. Pies szczeka na kosmos, a kot go kontestuje, dzieci mają gorączkę, ona lub on już wyszli. Rachunki do zapłacenia cierpliwie czekają na swoją kolej albo na komornika. A może jesteśmy sami tą wyobcowaną współczesną samotnością zasobów ludzkich trawionych spokojnie przez lokalny kapitalizm. A wokół wojna, wojna domowa. I walka klas. Już się z tym oswoiliśmy: można żyć pośród codziennej kanonady mediów masowego rażenia. Tak dzień cały, między pracą, prokrastynacją a rozrywką, w kraju wartości i brutalnej akumulacji kapitału. Wartości są jak baloniki napełnione helem, na ogół w barwach bogoojczyźnianych i w narodowo-wyklętym fasonie, unoszą się nad głowami zauroczonej młodzieży i dorosłych. Zaś akumulacja kapitału jednym odkraja mięso do kości, innych tuczy ponad miarę. Ale tego nie widać, bo w naszych czasach bogaci są coraz chudszy, a biedni nierzadko coraz grubszy. Bogaci noszą się niewyszukanie i dbają o kondycję, biedniejsi chcą mieć więcej, zatem biorą kredyty na prestiż i szybciej umierają z braku rzetelnej opieki medycznej.

I tak nastają kolejne dni i noce. Trwa wojna, z którą jesteśmy oswojeni, trwa walka klas, o której na ogół nie wypada głośno mówić – to również jest jej elementem. Wojna domowa jest w dużym stopniu wojną elit: tych, które dziś sprawują władzę, z

tymi, które doświadczyły bolesnego odcięcia od instytucji władzy i straciły sporo atutów w rozmowach z mniejszym i większym kapitałem. Wojna domowa zmieniła bieg transferów finansowych ze spółek skarbu państwa i sięgnęła po inne zasoby ludzkie w ramach kooptacji do wyższych stref politycznych i propagandowych. W tym może nawet jest jakiś element klasowy: niejeden zabiedzony pisowiec i pisówka, wyposzczeni przez niemal dekadę, wreszcie doczekali gratyfikacji i głębokiej satysfakcji delektowania się upadkiem tych, co poszli precz od okienka z napisem „pieniądze publiczne”. O wielu nic nie wiemy, inni nieźle yaycują na naszych oczach. W szeregach przegranych wzmacnia się rozpacz i dezorientacja: o ile poprzedni rząd PiS nie przetrwał zbyt długo, robiąc sobie śmiertelnych wrogów z takich aliantów jak Roman Giertych czy Kazimierz Marcinkiewicz, o tyle ten obecny trafił na naprawdę niezłą koniunkturę, zarówno gospodarczo, jak i politycznie, społecznie i kulturowo.

Czasem trudno byłoby oddzielić od siebie poszczególne aspekty tych dwóch procesów: wojny domowej i walki klas. Bo czy głośny ostatnio list czytelniczki do „Wysokich Obcasów”, który jest kompendium lumpenliberalnych przesądów wobec tych dość nielicznych segmentów polityki społecznej, jakie ma do zaoferowania III RP swoim obywatelkom i obywatelom, to bardziej zgiełk walki klas czy wojny elit? To danie upichcono z jednego i drugiego: smutne przecież, ale arcytypowe dla polskich wyobrażeń społecznych uprzedzenia klasowe osoby, która nazywa się „lewaczką”, łączą w jedno wzajemne nienawiści postsolidarnościowych elit z typowymi narzędziami stygmatyzacji uboższych – tak się robiło i robi przemoc symboliczną w III RP.

Ale spójrzmy, jaki sprytny zabieg, na który na szczęście nabiera się dziś nieco mniej osób: czytelniczka „W0”, która wymiotuje na nas swoją niechęcią do socjału, publicznej służby zdrowia i matek-„tipsiar” z butelką piwa w zanadrzu, nazywa się „lewaczką”. Centroprawica spod znaku Agory, maskująca swój

klasowo-uprzywilejowany, zdecydowanie prokapitalistyczny charakter liberalizmem obyczajowym i udzielaniem łam ludziom ze środowisk lewicy, nie ma już nic do stracenia. Widać wyraźnie, co oni właściwie przez lata promowali jako „lewactwo”: neoliberalną demagogię połączoną z niechęcią wobec katolicyzmu i/lub Prawa i Sprawiedliwości. Jesteś lewakiem? Jesteś lewaczką? Tak, tak! Dlaczego? Bo nie znoszę PiS! Bo „Jan Paweł II zajeżdżał mi szluga”! I czego jeszcze nie znosisz? ZUS-u, górników, publicznej służby zdrowia. Oto „lewacki” kanon z okolic Agory. Problem w tym, że rzadko kto miał odwagę powiedzieć takim ludziom, żeby najpierw chwilę pomyśleli, jak definiują swoją lewicowość. A podobno w znacznej mierze wciąż definiuje się ona przez emancypację warstw niższych, egalitarny projekt społeczno-polityczny zakładający aktywny udział państwa w budowaniu powszechnego dobrostanu. Oczywiście, poczesną rolę odgrywa w tej materii lewicowy feminizm, ponieważ to kobiety, szczególnie kobiety klasy ludowej, zwykle lądują na niższych szczeblach patriarchalno-kapitalistycznego społeczeństwa. Ale „lewactwo” czytelniczki „W0” nie jest tym wszystkim – jest ordynarnym lumpenliberalizmem, cynicznym albo cierpiącym solidnie na fałszywą świadomość klasową.

To chyba największy problem lewicy w polskich realiach: jest skazana na obce media, zarówno pro- jak i antypisowskie. I telewizja zarządzana przez PiS, i stacje komercyjne potrzebują lewicy na własnych warunkach i do własnych celów. Zresztą media kapitału nigdy nie będą mediami świata pracy. W naszych warunkach nie jest winą ani Razem, ani stowarzyszeń lokatorskich, ani lewicowych feministek, że nie ma dużych mediów lewicy. Swoje popsuło SLD, związki zawodowe absolutnie zawaliły tę sprawę. Efekt jest taki, że wszyscy musimy liczyć na zaproszenia od wydawców, dla których jesteśmy mniejszymi lub większymi dziwadłami.

Walka klas i wojna elit w znacznej mierze są sporem o pojęcia. W tej materii to świadomość buduje polski byt i chyba dość

skutecznie utrudnia wypracowanie języka, w którym moglibyśmy się ze sobą komunikować, nie tracąc potężnych ilości energii na wyjaśnianie elementarnych terminów z języka politologii, socjologii, historii idei. Nacjonaliści i centroprawica równie chętnie i bardzo instrumentalnie używają słów „lewica” i „lewactwo”. Lewakiem jest dla nich Adam Michnik, lewaczką Hanna Gronkiewicz-Waltz. To nawet zabawne, jak bardzo w Polsce centroprawica, i ta nieco bardziej liberalna i laicka, od pana Adama, i ta, która wzmacnia narodowo-katolicką nóżkę, od prezesa Kaczyńskiego, rozegrała lewicową terminologię na własną korzyść – w czasach zamętu, gdy SLD nie bardzo wiedziało, czym właściwie jest, to się musiało udać. I dziś płacimy za tego skutki. Na marginesie: humaniści, cały ten inteligencki żywioł, to niesamowicie perfidne stworzenia. Gdy przestajemy dociekać prawdy, a skupiamy się jedynie na propagandzie, która w czasach takich jak obecne zapewnia nam byt, jesteśmy najbardziej niebezpiecznymi z rozumnych zwierząt. A to dlatego, że psujemy język, ten najważniejszy z kosmosów, jaki eksplorujemy, a który jest równocześnie największą siecią komunikacyjną ludzkości.

Do tego trzeba dodać jeszcze jedną istotną rzecz – (kontr)rewolucję w państwie Prawa i Sprawiedliwości. Te dwa zjawiska dzieją się równocześnie i niesamowicie dynamizują scenę społeczną i polityczną. Z punktu widzenia lewicy i lewicujących liberałów partia rządząca bywa przedstawiana albo jako niesamowicie niespójna w swoim programie i jego realizacji, albo niezwykle, autorytarnie wręcz konsekwentna. To sprzeczność w opisie, która wymagałaby osobnej analizy. W dużym skrócie, rzecz zależy od tego, jak ujmujemy tę prosocjalną część programu PiS, już realizowaną i zapowiadaną. Dla części lewicy to prawicowy socjalny populizm, dla innych faktyczne wyzwalamie prosocjalnego aspektu funkcjonowania państwa spod dyktatu lumpenliberalnej doktryny, na której w znacznej mierze ufundowano III Rzeczpospolitą. Można ten obraz próbować niuansować jeszcze bardziej i przyjąć, że w samym środowisku partii rządzących 500 Plus traktowane jest na różne

sposoby i różne widzi się z niego pożytki, łącznie z bardzo doraźnymi, potencjalnie sprzyjającymi w kolejnych kampaniach wyborczych. Dla potrzeb tego felietonu zakładam, że ten dość umiarkowany program społeczno-gospodarczy, który wcale nie czyni Polski państwem dobrobytu socjalnego, jest czynnikiem realnie rewolucjonizującym naszą rzeczywistość. Obecnie na poziomie materialnym, choć pytanie – bardzo przecież lewicowe – jak kwestie bytowe mogą przełożyć się na świadomość społeczną.

I jeszcze jedno: przyjęcie 500 Plus sprawiło, że traktowane zwykle przez rządy jak piąte koło u wozu ministerstwo pracy i polityki społecznej (przez PiS nie tylko symbolicznie wzmocnione jego „urodzinnieniem”) nagle znalazło się w centrum zainteresowania opinii publicznej, elektoratu rządzącej partii i jej mniej lub bardziej prominentnych polityków. Socjalny aspekt prowadzenia polityki został wydobyty z głębokiego cienia. Oczywiście, to jeszcze nie przesądza o głębokiej zmianie na lepsze, ale w polskich warunkach lepiej mieć do czynienia z ministrami Rafalską niż z „lewacką” czytelniczką „Wysokich Obcasów”, która lumpenliberalne listy pisze. Choć zdaję sobie sprawę, jak głębokie emocje może wywoływać taka opinia w zaułkach lewicowego światka, które rzadko jednak odwiedzają tzw. zwykłe Polki i zwykli Polacy. Oczywiście ktoś zripostuje, że najlepiej byłoby mieć do czynienia z partią Razem u władzy, ale jej rządy lub efekty parlamentarnej obecności polskie społeczeństwo może rozliczyć za kilkanaście lat. A może nigdy.

Jest jednak drugi aspekt obecnych rządów, który zdecydowanie neguje choćby przekonania zawarte w felietonie Marcina Janasika „Razem, ale dokąd?”. Tam, gdzie występuje mocny rozróżnienie kulturowe między stronami konfliktu, socjalny kompromis nie jest możliwy ani na poziomie społecznym, ani tym bardziej politycznym. Z jakich przyczyn lewicowe feministki i feminiści mieliby na przykład przełykać gorzką pigułkę potencjalnego kompromisu z propisowskimi zwolennikami i

zwolenniczkami Ordo Iuris? Tym bardziej, że #czarnyprotest nie był żadnym knowaniem lewicy i liberałów/liberałem, ale wkurzoną reakcją na dość ostentacyjne próby zmiany tzw. kompromisu aborcyjnego, który był przecież takim samym „kompromisem narodowym” jak Okrągły Stół. Czyli nie był nim prawie wcale. Nie, zdecydowanie: niech PiS robi 500 Plus, niech zwiększa uprawnienia Państwowej Inspekcji Pracy, niech próbuje zwiększać ściągalność VAT (dobre i to, skoro nie ma odwagi zacząć ściągać większych podatków od naprawdę wielkiego kapitału), niech ściga i wsadza choć niektórych typów od reprivatyzacji, bo to wszystko jest korzystne dla dużej części społeczeństwa. I to jest najważniejsze: szansa na poprawę realnego bytu sporej części Polek i Polaków. Ale nie udawajmy, że to wystarczy, by zapomnieć o protokole rozbieżności, który znacznie ogranicza pole manewru właśnie słabszej stronie. Nie udawajmy, że po stronie centroprawicy nie ma ludzi, którzy z przyczyn konfesyjno-ideologicznych na różne sposoby negują choćby problem z patologiami w polskich rodzinach, zaczynając od przemocy domowej. Notabene: latem 2015 roku mogłem jeszcze zrobić dla „Gazety Polskiej Codziennie” wywiad z Marceliną Zawiszą i Katarzyną Paprotą z partii Razem. Dziś nie byłoby to możliwe – nie tylko dlatego, że Adrian Zandberg nieco za bardzo folguje językowi i nazywa politykę rządzącej partii „gówniarzerią”.

I jeszcze jedno: dlaczego znaczna część lewicy, która coraz lepiej pojmuje swoją historyczność, miałaby udawać, że pada deszcz, gdy duża część polityki historycznej prawicy, i tej w wydaniu instytucjonalno-, i tej w wydaniu rynkowo-tiszertowym, bazuje na świadomie uprawianej antylewicowości? Skoro już doszliśmy do wniosku, że hasełka w rodzaju „wybierzmy przyszłość” były w pewnym momencie najkorzystniejszą strategią dla SLD, ale nie dla lewicy jako takiej, to dlaczego mamy godzić się na kontrrewolucję pamięci, która bazuje na patriotyzmie niemal zupełnie wytartym z treści innych niż martyrologia? To prawica ma instytucje, niech zatem zacznie przypominać Polkom i Polakom „Testament Polski Walczącej”.

Wiem, to nierealne. Akurat ten dokument to część historii, o którym nie chce pamiętać ani prawica okołopisowska, ani liberalna gospodarczo prawica z okolic Komitetu Obrony Demokracji. I dobrze wiemy, dlaczego: ponieważ to istotny element pamięci, który rozsadza neoliberalną układankę tożsamościową na poziomie światopoglądu publicznych instytucji i ideologicznego zapotrzebowania rynku.

Ważna rzecz – uwagi, które poniżej zapiszę, nie są ocenne, ale analityczne. Znana teza głosi, że PiS przejął od lewicy elektorat socjalny. Ale to o wiele bardziej skomplikowane. A to z tej prostej przyczyny, że ewentualny prosocjalny elektorat wcale nie oznacza z definicji elektoratu współczesnej lewicy, która w kwestiach emancypacyjnych znacznie wykracza poza postulaty sprzed stulecia. Nawet jeśli przyjmiemy, że lud w Polsce nie jest wcale tak konserwatywny, jak chciałaby prawica, to jest wystarczająco konserwatywny w sferze publicznej, by od dekad wybierać centroprawicę, albo co najwyżej mocno dwuznaczną w sprawach obyczajowych post-PRL-owską socjaldemokrację, a nie na przykład Zielonych. Co więcej, niestety, po kryzysie z przełomu dekad ujawniły się w polskim społeczeństwie głębokie pokłady frustracji, które uskrzydliły neoendeków na ambonach, stadionach i w politycznych gabinetach. Może był kiedyś moment, w którym dało się ulicę zdobyć dla lewicy (bezprzymiotnikowej), ale, jak się wydaje, niesprzyjających okoliczności było całkiem sporo.

Zatem nawet socjalny elektorat nie będzie tak łatwy do pozyskania. Dlaczego? Bo, jak dotąd, najprozaiczej w świecie, na skrzyżowaniu między socjalnością a emancypacją kulturowo-polityczną rozchodzą się drogi przynajmniej części prosocjalnego elektoratu i lewicy. I także dlatego lewica, która nie może udawać, że nie słyszy chamskich uwag o emigrantach, wypowiedanych nierzadko wcale nie przy „budce z piwem”, ale w inteligentnych biurach przez modnie przystrzyżone korpoosoby, które po robocie kultuwują nacjonalistyczne fobie, nie przywita z entuzjazmem wizji

politycznego sojuszu z obecnym obozem władzy. Tym bardziej, o czym piszę ze smutkiem, że obrażanie lewicy i mocna dyskredytacja jej postulatów emancypacyjnych, nie tylko tych nazywanych obyczajowymi, ale np. antyprzemocowych i antyseksistowskich, jest po prostu częścią lajfstajlu niemałej części centroprawicy. Choć jest i odwrotnie: to niektórzy ludzie lewicy sądzą, że pogardą dla propisowskiego ludu i elity cokolwiek dla siebie wywalczą w przestrzeni społecznej. Tyle że siły wyborcze i możliwości instytucjonalne rozkładają się obecnie na zdecydowaną niekorzyść lewicy. Ten stan szybko się nie zmieni.

Choć dodajmy jeszcze jedną rzecz przy okazji rozważań o konserwatyzmie ludu. Otóż, rzecz jasna, duża część społeczeństwa nie jest tak arcykatolicka, jak to się podaje do wierzenia z ambon i rozlicznych mównic, albo jak straszą tym co bardziej histeryczni salonowi liberałowie. Mnóstwo Polek i Polaków wyznaje coś w rodzaju religijności niekonsekwentnej: np. mniej lub bardziej regularnie chodzi do kościoła, ale przymyka oczy na przeróżne formy libertynizmu obyczajowego, własnego i swoich dzieci (rzadziej sąsiadów i sąsiadek). Mnóstwo Polek i Polaków ma w nosie to, co ksiądz mówi o prezerwatywach, ale odnajduje dziwną radość w lamentacjach nad zagrożeniem uchodźczym dla Polski. Konstelacje tych poglądów są przeróżne. Jest też sporo ludzi, znaczna część społeczeństwa, która po prostu nie zna języka feminizmów, albo – z innej puli – nie lubi cynicznego antyklerykalizmu. I dopóki lewica nie uświadomi sobie, że właśnie do takich osób musi odnaleźć drogę, będzie stała przed ścianą biernego oporu. A dodajmy, że Razem wciąż jest partią, która myli się ludziom choćby z Nowoczesną. Być może dla wielu Polek i Polaków znalazłaby się nieco odpowiedniejsza oferta polityczna: zachowująca dystans do Kościoła, ale nie odnosząca się obelżywie do sacrum, patriotyczna, ale nie szowinistyczna, po części socjaldemokratyczna, otwarta na postulaty feministyczne. Ale takiej oferty nie ma i raczej nikt jej w najbliższym czasie nie skonstruuje. A może nie miałaby szans w

świecie domagającym się coraz bardziej spolaryzowanych dookreśleń.

W każdym razie mamy dziś w Polsce do czynienia nie tylko z raczkującą rewolucją socjalną, ale też – znacznie chętniej pokazywaną przez medialny antypisowski mainstream – kontrrewolucją instytucjonalno-rynkową. W PiS nie krzyczą „śmierć frajerom!” (choć nigdy nie brakowało w otoczeniu i szeregach tej partii skrajnych lumpenliberałów), bo szczególnie obecnie to nie wypada i się nie opłaca. W PiS niektórzy powiadają: „śmierć drzewom, skoro własność jest najświętsza!”. Proliberalna część elity pisowskiej dziś na ogół trzyma język za zębami, z wyjątkiem publicystów obsługujących ten segment propisowskich wyborców, ale łatwo sobie można wyobrazić sytuację, w której zmiana koniunktury politycznej wzmocni sygnał radykalnie prorynkowy. A nie zapominajmy, że redaktor Ziemkiewicz co prawda zawsze chętnie zruga KOD, ale gdy trzeba „odda rację” Leszkowi Balcerowiczowi.

Trwa wojna domowa i trwa walka klas. Lewica ma trudniej: musi przekonać do siebie znacznie większą liczbę nieprzekonanych. I niekoniecznie zobaczy polityczną wygraną na własne oczy. Ale cóż to by było za życie, gdyby z założonymi rękoma patrzeć na ten cholerny kapitalizm.

Autorstwo: Krzysztof Wołodźko

Źródło: NowyObywatel.pl